



# BIAŁA DOLINA

Andrzej Galicki

Andrzej Galicki

# **Biała dolina**

© Copyright by Andrzej Galicki & e-bookowo  
Projekt okładki: Andrzej Galicki

Na okładce obraz autora książki pt. „Biała dolina”  
namalowany w roku 1994

ISBN 978-83-7859-145-0

Wydawca: Self-Publishing

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części  
lub całości  
bez zgody wydawcy zabronione  
Wydanie I 2013

## **Słowo wstępne**

Ktoś kiedyś powiedział: „W tym szaleństwie jest metoda”.

Jaka jest zatem metoda w szaleństwie zwanym „Życie”?

Kto ma prawo segregować ludzi na tych normalnych i tych innych? Co jest silniejsze, miłość czy nienawiść i czy wreszcie możliwe jest, że dla samoobrony umysł ludzki jest w stanie zapragnąć samozniszczenia jako ostatecznego środka?

A może nie należy traktować tego zbyt poważnie, może odrobina humoru jest najlepszą obroną przeciwko burzowym chmurom, jeżeli ktoś potrafi wystawić twarz na pioruny i śmiać się głośno, będzie uratowany.

Przyjemnego czytania,

Autor

## **Spis treści**

<i>Słowo wstępne</i>	<i>4</i>
<i>1. Azor</i>	<i>6</i>
<i>2. Biedronka</i>	<i>66</i>
<i>3. Drakula</i>	<i>128</i>
<i>4. Na zrywce</i>	<i>201</i>
<i>5. Biała Dolina</i>	<i>225</i>

## 1. Azor

Leżałem przy łóżku mojego pana, tak jak powinien robić każdy mądry i wierny pies, za jakiego się przecież uważałem. Czekałem cierpliwie dziwiąc się nawet trochę, że pozwalają mi tu tak leżeć, ba, nawet kołderkę mi podłożyli żebym miał wygodniej i ogólnie nie było źle a czas się nawet nie dłużył, tyle działo się wokół ciekawego.

Najbardziej lubiłem jak przechodziła obok mnie salaowa Zośka, zdrowa, wiejska dziewczucha.

Ja, ze swojej pozycji widziałem więcej niż inni, korzystałem więc ile wlezie. Zocha łydki miała mocarne, a uda pod fartuchem krągłe i złociste, prawdziwe marzenie. A że miała dzisiaj dziurę w majtkach, to napatrzyłem się, napatrzyłem, tylko ogona brakowało jej do ideału.

A od Balcerzaka, który miał łóżko obok, dowiedziałem się, że pana mojego zabrali wczoraj na elektrowstrząsy, ale nikt nie mówił kiedy on wróci, czekałem więc spokojnie. Moja rola była taka: mam leżeć i pilnować żeby ktoś inny nie próbował wtrynić się na to łóżko. Powarkiwałem więc od czasu do czasu, niegroźnie raczej, tyle tylko żeby respekt wszyscy czuli do tego miejsca, respekt i uszanowanie.

Balcerzak, sąsiad, fryzjerem był z zawodu, nie wiem czy

dobrym, ale chyba tak. Dobry fryzjer to taki fryzjer który zawsze ma coś ciekawego do powiedzenia, bez względu na to czy ktoś go słucha, czy nie.

Pewnego dnia spotkało Balcerzaka nieszczęście: żona go opuściła z jego własnym klientem i to z takim, który nie zapłacił za ostatnią wizytę, co dla fryzjera jest tak, jakby dwa policzki naraz w jedną mordę zainkasować.

Nazajutrz Balcerzak pozornie spokojny, tekturę na drzwiach gabinetu wywiesił z napisem, że od dzisiaj strzyże tylko łysych, a włochate niech sobie radzą tak jak im się podoba.

Nie spodobało się to dyrekcji spółdzielni fryzjerskiej do której należał zakład Balcerzaka. Czasem najbardziej zwa-riowane pomysły okazują się genialne, ten się nie okazał i łysi nie dawali zakładowi niestety dochodów.

Spółdzielnia napuściła na Balcerzaka pogotowie z wariatkowa, ale on zamknął się w swoim salonie fryzjerskim i tylko brzytwą wymachiwał przez szybę ilekroć ktoś w białym fartuchu zbliżał się do drzwi wejściowych jego zakładu.

Komendant miejscowego posterunku wpadł wtedy na szatański iście pomysł.

Wybrał trzech łysych policjantów i kazał im się przebrać w cywilne ubrania. Tak podle uśpiwszy czujność fryzjera, założyli mu sprawnie kaftanik z długimi rękawami i po ptokach. Balcerzak z objawami ciężkiej depresji przebywał właśnie tutaj i podejrzliwie lustrował każdego łyse-

go w polu widzenia, tak jakoś stracił do nich zaufanie.

Opowiadał tę swoją historię po raz kolejny zwracając się bądź to w moim kierunku, bądź to w stronę Szymona, chłopca spod Garwolina, który obydwie ręce i nogi przywiązane miał do łóżka i nie bez powodu: gdy niedawno udało mu się uwolnić, zerwał ze ściany gaśnicę i całą salę zapsikał białą pianą, to były jaja, pacjenci cieszyli się jak dzieci, ale sanitariusze cieszyli się mniej i Szymon znalazł się znów na łóżku związany, a na pytania dlaczego chwycił tę gaśnicę, odpowiedział grzecznie, że szukał właściwie siekiery, ale nie mógł jej znaleźć.

Oj lepiej, że nie znalazł, co by się stało gdyby znalazł - lepiej nie mówić.

Co jemu się stało - dokładnie trudno powiedzieć, trochę wiadomo ze skąpych wiadomości przynoszonych przez jego żonę, która odwiedzała go raz w tygodniu. Mała, zgarbiona kobiecina ubrana na czarno. Oboje z Szymonem nie byli rozmowni i jak legenda głosi, gdy przyjechali tutaj na pierwszą wizytę u lekarza i usiedli w gabinecie, przez czas dłuższy profesor nie mógł nijak od nich wyciągnąć kto tu właściwie kogo przywiózł i o mało brakowało a oboje pozostaliby tutaj, gdyby Szymon nie wstał nagle z krzesła i nie zapiał jak kogut, głośno i przeciągle. Wtedy lekarz domyślił się wreszcie i Szymonowa zwolniona została do domu.

A wszystko przez krowę Szymonów jedyną, która chudnąć poczęła niemiłosiernie, co bardzo martwiło starego.



Skąpiąc pieniędzy na weterynarza sam postanowił ją leczyć domowymi sposobami. Wyczytał gdzieś w kalendarzu rolniczym opowiadanie fantastyczne o wampirach, co krwią ludzką i bydłą się żywią, a tylko pianie koguta jest w stanie je przepłoszyć. Piać więc zaczął po nocach po obórcie i tak się do tego piania przyzwyczaił, że piał już również w dzień (choć rzadziej). Krowa tymczasem chudła i chudła, być może miejscowe wampiry odporne były na tego rodzaju pianie, być może oprócz piania weterynarz by się również przydał, nie wiadomo. Jedyne co wiadomo, to że któregoś poranka biedne stworzenie wyzionęło ducha w Szymonowej obórcie, a sam Szymon piać nie przestał, bo zemstę wampirom przysiągł straszliwą, aż ze skierowaniem gminnego lekarza tutaj się dostał na rozpoznanie i od razu wylądował w sali No 407, gdzie same ciekawe przypadki się znajdowały.

Z powodu jego nieposkromionych skłonności do piania, skierowany został na elektrowstrząsy. Po pierwszej serii było nawet lepiej, po drugiej jeszcze lepiej a po trzeciej piać już przestał po nocach (czasem tylko sporadycznie mu się to zdarzało), ale nienawiść do wampirów pozostała w sercu jego. I Poprzysiągł sobie, że tępić je będzie aż do końca dni swoich. Każdą wolną chwilę wypełniało mu odtąd szukanie po kątach siekierki, która była konieczna dla wypełnienia tej misji. Zaniepokoiło to lekarzy do tego stopnia, że kazali przywiązywać go do łóżka na wszelki wypadek, wiadomo - kto szuka ten znajdzie.

Biedna Szymonowa odwiedzała go co tydzień i karmiła zsiadłym mlekiem z kartoflami. Kartofle posypane były z wierzchu skwarami grubymi na palec i to wprawiało Szymona we wspaniały humor, jedząc to domowe jadło zapominał na trochę o siekierze, o wampirach, nawet o zdechłej krowie zapominał. Ale gdy po posiłku Szymonowa chowała kanki do tobołka, pamięć mu wracała i nerwowo szeptał jej do ucha za każdym razem to samo:

- Wczoraj znowu jednemu widział. Przez okno zaglądał psiajucha. Siekierkę mi przywieź następnym razem z drevutni, jeno tą mniejszą, poręczniej mi będzie pod siennik ją schować. Szymonowa jak zwykle ocierała łzę słoną końcem czarnej chustki i obiecywała że tak, przywiezie niezawodnie, aby tylko martwić się przestał i do roboty w polu powrócił, bo

praca to najlepsze lekarstwo ma wszelkie dolegliwości ciała i duszy.

Po przeciwnej ścianie sali leżała Jóźwicka, kobita nie stara jeszcze, ale mocno już zajechana, wyglądała trochę jak samochód warszawskiego taksówkarza po trzecim szlifie.

Obserwując ją cieszyłem się w duchu, że my z moim panem wódki nie pijemy, czyż życie nie jest wystarczająco pijane samo w sobie żeby je jeszcze bardziej upijać? Przywieziona tu kiedyś po ostrej libacji Jóźwicka, pół nocy pod łóżkiem przesiedziała, strachy miała takie i dopiero nad ranem udało się ją na zewnątrz wyciągnąć. Delirium

pozornie minęło, ale nagle coś odmieniło się jej w głowie i robactwo rozmaite zaczęło po niej łązić, choć nic nie było widać gołym okiem. Stan ten utrzymywał się uparcie i chociaż była na lekach, otrzepywała się nieustannie. A Józwicka tak samo jak Szymon potrzebna była w domu i to nie tylko dla męża, lecz że metę prowadziła alkoholową w swoim mieszkaniu, a teraz, gdy jej zabrakło, wszystkie pijusy z dzielnicy chodziły jak błędne, bo gdy klina trzeba klinem to meta była ostatnim ratunkiem dla nich wszystkich.

Józwicka popełniła błąd zawodowy. Przyjęła na próbę skrzynkę trunku niewiadomego pochodzenia i nie chcąc eksperymentować na własnych klientach, sama pierwszą butelkę wydoiła. Towar okazał się dziwny w działaniu i nawet będąc w leczeniu wytrzeźwieć nie była w stanie. Cudem z nią wyprawiali, sam profesor odwiedzał, a poziom alkoholu we krwi utrzymywał się jednakowy jak na złość i powrót na dzielnicę nie zapowiadał się prędko. Tymczasem legendy już krążyły o tej gorzałce, po której się nie trzeźwieje. Mąż jej, sam przecież trunkowy, odwiedzał ją tutaj gęsto, problem polegał bowiem na tym, że Józwicka resztą świadomości tak potrafiła skrzynkę z towarem skitrać, że teraz była ona nie do odnalezienia.

Poznawała męża gdy się zjawiał, uspokajała się nawet na chwilę, ale gdy tylko o skrytkę zaczynał nagabywać znów powracała do oganianie się od pajaków - od niego również się wtedy oganiała jakby sam był pajakiem i to

największym.

Leżałem tak obok łóżka mojego pana i obserwowałem tych ludzi. Drzemałem pozornie, podnosząc jednak od czasu do czasu to jedną powiekę to drugą aby nie godnego uwagi nie umknęło przede mną, nie skryło się gdzieś w zakamarkach mrocznych półśnów i majaczeń w jakie od czasu do czasu popadałem. Głupio mi było, gdy nie byłem w stanie oddzielić czasem zjaw sennych od rzeczywistości, starałem się kontrolować myśli moje by nie latały na wszystkie strony jak zwariowane, pomagała mi w tym taka jedna prosta sztuczka, każdy może spróbować:

Koncentracja, nie dać się wyprowadzić z równowagi nikomu i niczemu.

Na podłodze, na wprost mojej głowy usiadła akurat mucha. Usiadła świnia tuż przed moim nosem i dobrze wiedziała, dlaczego siada właśnie a tym miejscu. Większość ludzi uważa, że muchy to bezmyślne owady, że latanie ich i łożenie jest kompletnie chaotyczne i przypadkowe.

I tutaj się właśnie mylą. Muchy to stworzenia niezwykle inteligentne i złośliwe. Wystarczy zapytać o to pierwszego napotkanego psa, każdy potwierdzi. Na przykład, jeżeli mucha chce usiąść na podłodze, dlaczego siada dokładnie przed moim nosem? Choćby podłoga wielka była jak morze, ona i tak usiądzie dokładnie tutaj. I co? To ma być przypadek? Ja w takie przypadki nie wierzę. A co robi ta złośliwa małpa następnie? Czy usiądzie sobie spokojnie, albo się położy? Nie, one nigdy się nie kładą. A dlaczego?